2 Tom. — Nr. 9. 15 Września 1914.

MURZYNEK.



WYDANIE
Sodalicyi Św. Piotra Klawera
dla misyi afrykańskich.

Rocznie 12 zeszytów. Cena: 1 Kor. (1 Mk. 50 kop.; 25 cents. am.)

MURZYNEK, miesięcznik katolicki illustrowany, dla dzieci i młodzieży, wychodzi w języku polskim, włoskim, niemieckim, węgierskim, czeskim i słoweńskim.

Prenumerata roczna z przesyłką:

1 korona, (= 1 Marka = 50 kopiejek = 25 centów ameryk.). — Cena pojedyńczego numeru 10 halerzy.
Adres: Administracya „Echa z Afryki", KRAKÓW. UL. ŚW. MARKA 25.

Ofiary można przesyłać albo do Krakowa, albo wprost do generalnej kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera, hr. *Maryi Teresy Ledóchowskiej,* **Roma,** via dell' Olmata 16.

Spis rzeczy (Nr. 9): Wielki dzień, z dziennika Misyonarza z Togo, (ciąg dalszy). — Matovu, czarny chłopczyk wykupiony. — List dziewczynek ze szkoły N. M. P. (Notre-Dame) we Lwowie. — Odtrąceni. — Z życia czarnych pogańskich dzieci przez W. O. Massmanna, byłego Misyonarza w Kongo Belgijskiem, (ciąg dalszy). — Testament małej przyjaciółki misyi. — »Chciałabym uświęcić moją duszę!«

Illustracya: Misyonarz wśród czarnych dzieci.

Dalsze adresy dla przesyłania prenumeraty i ofiar:

Warszawa: Administracya „Przeglądu Katol.", Warecka 11.
„ Pan Rokicki, przy kościele WW. Świętych.
Siedlce: p. Jan Sapiecha, ul. Stodolna 9, m. 1.
Petersburg: „Księgarnia katolicka" Newski 34, m. 13.
Wrocław: filia Sodalicyi św. Piotra Klawera, Hirschstr. 33.
Poznań: p. Em. Laskowska, Wienerstrasse 1.
Zabrze-Nord (Górny Śląsk): p. M. Ottka, Kronprinzenstr. 45.
Bydgoszcz: p. Roesmer, Alte Pfarrstr. 5.
Ameryka — Chicago (Ill.) Cleaver str. 1131 p. Br. Sikorska.



Misyonarz wśród czarnych dzieci.

WIELKI DZIEŃ.

(Z dziennika Misyonarza z Togo).

(Ciąg dalszy).

Tak jest w istocie, kochani czytelnicy, sami czujemy to aż nadto dobrze, iż ten domek nie jest mieszkaniem godnem Króla nieba i ziemi. Raz po raz proszą nas nasi chrześcijanie: »Wybuduj nam, Ojcze, prędko piękny kościół; patrz, jak się Lome co roku powiększa i upiększa, jak rośnie liczba katolików i jak małą i duszną staje się nasza kaplica. Pomyśl jak bardzo brak nam pięknego kościoła, gdy nadchodzą wielkie, uroczyste święta«.

Ale jakże Przewiel. nasz Prefekt Apostolski, powróciwszy z Europy, będzie w możności uwzględnić te słuszne żądania, zastając pustą kasę mi-

syjną? Do budowy niezbędnymi przedewszystkiem są kamienie budowlane, te zaś kosztują: bez pieniędzy nikt budować nie potrafi, a przynajmniej w Afryce.

Ale pozwól mi tutaj zadać ci jedno pytanie, kochany czytelniku, kochana czytelniczko! Gdybym, znalazłszy się teraz przy tobie, opowiadał ci to i owo o Afryce, a na zakończenie zapytał: »Czy nie masz jednego bodaj zbywającego pieniążka do ofiarowania Boskiemu Zbawcy twemu, który tam, za morzem, w dalekiej Afryce zadawalniać się musi małym, nędznym domkiem, podczas gdy radby tak bardzo, by Mu wśród Jego czarnych dzieci lepszy i większy kościółek wzniesiono?« — Jaką dałbyś mi na to odpowiedź? Może odpowiedziałbyś, że sam nic nie posiadając, nie możesz Mu nic ofiarować? Kiedy tak, to módl się ażeby Bóg natchnął serca hojne szczodrobliwością, by katolikom w Afryce kościoły odpowiednie wznosić dopomogły. A może odpowiesz: »Przykro mi, Ojcze Wielebny, ale sam mam bardzo niewiele«. Nic nie szkodzi, ofiaruj z tego cząstkę chętnem sercem, pamiętając o pieniążku biednej wdowy, który jej wysłużył u Pana pochwałę, mającą rozbrzmiewać wśród ludzi aż do końca świata. Wdowę tę Pan wszystkim jako wzór do naśladowania podaje — dla zachęty i pociechy ubogich. A jeśli możesz mi powiedzieć: »Nie pożałuję grosza, Ojcze, dla twoich czarnych dzieci« — odpowiem ci: Bóg zapłać, poślij, ile chcesz i możesz, wszystko cokolwiek złożysz w ofierze, najdokładniej zapisane zostanie w księdze, której hasłem są słowa: „*Kto szczodrze sieje, obficie żąć będzie*". (Św. Paweł).

Pragnę jednak, odbiegłszy od przedmiotu, powrócić do uroczystości, odbywającej się w naszej kaplicy.

Przerwałem opowiadanie w chwili, kiedy dzieci we wzorowym porządku przystępowały do ołtarza; dwóch ministrantów trzymało rozpięty obrus przed niemi, zaś O. Schmitz w komży i stule zbliżał się do każdego z komunikujących z pateną. Przestrzegamy tego ceremoniału podczas wielkich uroczystości. Po skończonej Mszy św. pozostały dzieci jeszcze w kaplicy dla odmówienia aktu dziękczynnego, a na zakończenie rozległo się, z serc przepełnionych radością, gromkie: »Ciebie Boże chwalimy« w języku krajowym.

Jakże szczęśliwą czuła się mała gromadka! jakże promieniały ich czarne twarzyczki, iskrzyły się radością ciemne oczy po spożyciu Chleba anielskiego! »Tak mi w sercu błogo«, słyszałem mówiących jednych do drugich, gdyż czuli potrzebę wyrazić słowami wewnętrzne szczęście.

Wzmogła się jeszcze ich radość, gdy otrzymali od Misyonarza obrazki, szkaplerze i różańce, jako pamiątki najszczęśliwszego dnia w ich życiu.

Jeden ze znaczniejszych katolików w Lome, pragnąc tym szczęśliwym dzieciom zgotować miłą niespodziankę, zaprosił po nabożeństwie, wszystkie dziewczynki, w liczbie których była jego siostrzenica — do siebie na obiad. Potrawy przyrządzone były według miejscowego zwyczaju, nie brakło jednak przystawek na sposób europejski, co należy tutaj do dobrego tonu.

Na nabożeństwie popołudniowem zjawiły się znowu wszystkie dzieci punktualnie w swych odświętnych ubraniach i zajęły te same miejsca, co i zrana. W przemowie, którą na zakończenie wystosował O. Misyonarz do obecnych, w szczególności jednak do dzieci, podniesione było wielkie szczęście, wielka łaska, błogi spokój, słodkie po-

krzepienie, jakiego danem im było dzisiaj zakosztować. Nauka zakończyła się słowami Objawienia: »Kto zwycięży, temu ukrytej manny udzielę“, i temi drugiemi: »Wytrwaj do końca, a dam ci koronę żywota wiecznego«.

Po nabożeństwie udali się i chłopcy do domu uprzejmego gospodarza, u którego teraz i dla nich zastawiono stoły. Wieczerza przeciągała się nieco długo i dziwić mnie już zaczynało, że nasz uczeń, stale w misyi mieszkający, przekracza regulamin dzisiaj właśnie i nie wraca punktualnie o szóstej do domu. Niebawem dowiedzieć się miałem o przyczynie tego opóźnienia.

(Dokończenie nastąpi).

Matovu, czarny chłopczyk wykupiony.

Opowiadanie jednego z Ojców Białych.

Matovu ma lat około dwunastu. Urodził się we wsi Kileko, leżącej o dziesięć mil ku południowschodowi od Naddangiry. Jego ojciec, imieniem Lubandi, i matka, Livakoleranza, należą do szczepu pogańskich Kakandów, którzy nie zaznali nigdy pociechy życia chrześcijańskiej rodziny. O ile mogliśmy się dowiedzieć, Matovu jest trzeciem z czworga dzieci swoich rodziców. Chłopczyna słaby i chorowity, ma twarzyczkę o miłym łagodnym wyrazie i szczerą, prawą naturę. W przeciwieństwie do innych małych pogan w jego wieku, nie odziedziczył żadnych złych skłonności po zepsutych pogańskich rodzicach. Zdawaćby się mogło, że jego fizy-

czne cierpienia posłużyły mu, jako ochrona, przeciw wszelkiemu moralnemu zepsuciu, tak bardzo pod tym względem okazuje Matovu niepospolite przymioty. W szczególności godnem podziwu jest jego przywiązanie dziecięce do matki Livakoleranzy, która, mimo, iż jest zagorzałą poganką, wydaje się być godną lepszego losu temu synowskiemu sercu.

»Kiedy trzy lata temu — opowiadał nam — spadły na mnie wszystkie nędze i ciężka choroba, matka moja była głęboko dotknięta moim nieszczęśliwym losem. Pielęgnowała mnie jak mogła najlepiej i pragnęła, aby mnie zaniesiono do lekarzy krajowych, czyli do czarowników. Ale troskliwość matki nie wzruszyła ojca mojego«.

I w rzeczywistości, stary poganin, który za młodu, przy boku swych królów, brał udział we wszystkich wojnach domowych i ręce miał splamione krwią i rabunkiem, nie mógł mieć szczególnego przywiązania i względów dla tego dziecka, dotkniętego chorobą w rodzaju raka. To też macierzyńskie pośrednictwo jego żony nie osiągnęło żadnego skutku.

»Twój syn — powiedział jej wreszcie pewnego dnia — jest trędowaty. Każ go zanieść do Nkowe, gdzie mieszka czarownik Mukasa; on potrafi znaleźć stosowne lekarstwo na jego chorobę«.

»I tak — ciągnął dalej Matovu swoje opowiadanie — dostałem się do Nkowe. Tam zbudowano dla mnie małą lepiankę w zaroślach i pozostawiono mnie w niej przez cały szereg dni zupełnie samego. Obchodzono się ze mną jak z trędowatym zdeklarowanym«.

Ale pewnego dnia wzruszyło się przecież litością serce tego okrutnego człowieka. W listopadzie bowiem, roku 1911, kazał Lubandi dwom ludziom

zanieść chorego syna do Naddangiry i sam go tam odprowadził.

»Przynoszę ci tutaj — rzekł do mnie, podczas gdy u nóg moich kładziono chore dziecko — trędowatego, okrytego ranami. Jeśli umrze, to wszystko będzie skończone, ale jeśli go wyratujesz, chłopiec ten należeć będzie do ciebie«. Powiedziawszy to, zniknął, nie czekając nawet mojej odpowiedzi.

»Widzisz, moje dziecko, od dziś dnia będziesz moim synem — powiedziałem do małego pacyenta — zacznę cię pielęgnować, a dobry Bóg cię uzdrowi«.

I otoczyłem biednego chłopca natychmiast jaknajtroskliwszą opieką; powoli zdrowie jego zaczęło się poprawiać; rany poczęły zasychać i po większej części poznikały. Ale co ważniejsza duszyczka tego biednego dziecka otworzyła się na światło prawdziwej wiary. Matovu zaczął najpierw uczyć się modlitw. Po trzech miesiącach, przyjęliśmy go do katechumenatu i tu zabłysnął między rówieśnikami, jako wzór gorliwej pilności i pobożności. — 12 sierpnia 1912 roku ochrzczono go i nadano imię Jan, zaś w dniu Wniebowzięcia Matki Boskiej przystąpił on do pierwszej Komunii świętej; dziś jest całkiem szczęśliwy poczuciem, że należy już do Jezusa, naszego Słodkiego Zbawiciela i do Maryi. Wkrótce poświęci się Jej uroczyście i na zawsze już. Od dnia Pierwszej Komunii świętej, widzimy go codziennie przystępującego do Stołu Pańskiego; modli się potem gorąco o nawrócenie swych rodziców, i o jaknajobfitszą łaskę Boską dla swych dobroczyńców.

W tych dniach zapytałem go: — Co zamyślasz czynić teraz? Otrzymałeś Chrzest święty i zdrowie ci się już znacznie poprawiło«.

Jan odpowiedział z dziecinną prostotą: — Co uczynię? Jestem biednem, opuszczonem dzieckiem! Matka moja przyjęłaby mnie może napowrót do domu, ale ojciec nie zechce. Gdyby zaś oni pomarli, to naprawdę nie wiem, co by się ze mną stało, bo nie znam wcale innej rodziny. Widzisz, Ojcze, Kościół święty jest moją matką! Chciałbym pozostać przy tobie, aby poznawać coraz lepiej moją wiarę św. Jedno tylko mię boli; kocham bardzo moją matkę, ale zdaje mi się, że nie modli się ona nigdy do Boga!«

Przy tych słowach popłynęły mu łzy.

— Co Bóg uczynił dla ciebie — powiedziałem mu wtedy z naciskiem — to potrafi i zechce uczynić także dla twojej matki; musisz tylko wiernie Mu służyć i prosić gorąco o jej nawrócenie«.

Wysłuchawszy tego, Jan otarł łzy i odszedł.

Oto kilka rysów z życia tego młodego, nowonawróconego chłopca, który odtąd pozostał całkowicie na opiece naszej misyi.

Błagajmy wraz z nim o miłosierdzie Boże, aby i matka jego kiedyś doznała szczęścia poznania naszej wiary świętej.

LIST SZCZĘŚLIWYCH DZIEWCZYNEK,

które przystąpiły do Pierwszej Komunii świętej w szkole N. Maryi Panny (Notre-Dame) we Lwowie.

Drodzy Czytelnicy i Czytelniczki »Murzynka«, przeczytajcie z uwagą następujące słowa! Są one powtórzeniem miluchnego listu, ktory otrzymała Ge-

neralna Kierowniczka Sodalicyi św. Piotra Klawera. O jakaż miłość, jakie zrozumienie losu tych biednych dzieci murzyńskich przebija w nim! I jakże chętnie musiał wstąpić Boski Zbawiciel do takich ofiarnych serduszek!

Najczcigodniejsza Pani Hrabino,

27 maja, 1913 roku, zawitał dla nas dzień wielki Pierwszej Komuni świętej. Wiedziałyśmy, że dzień ten będzie najpiękniejszym i najszczęśliwszym w naszem życiu. Toteż ledwo że mogłyśmy się go doczekać! W dniu tym pomyślałyśmy o tych, którzy są mniej szczęśliwymi od nas, to jest o naszych biednych czarnych braciszkach i siostrzyczkach z Afryki. Pragnęłyśmy podzielić się z niemi naszem szczęściem i postanowiłyśmy, na pamiątkę dnia naszej Pierwszej Komunii świętej, wykupić jedną maleńką dziewczynkę murzyńską. To też, w czasie naszego przygotowywania się do tego wielkiego dnia, zbierałyśmy skwapliwie pieniądze przeznaczone na łakocie i nasze małe oszczędności i do 27 maja zebrałyśmy nietylko sumkę potrzebną na wykupienie dziewczynki, ale jeszcze tyle po nad nią, że możemy naszej chrzestnej córeczce sprawić sukienkę na uroczystość Chrztu świętego. Prosimy, aby naszej małej pupilce nadano na Chrzcie świętym imię Marya Stanisława, dla uczczenia naszej drogiej Matki Przełożonej, która to imię nosi. Czy nie moglibyśmy otrzymać fotografii tej małej dziewczynki? Przesyłamy na ten cel jeszcze jedną koronę osobno. Najchętniej chciałybyśmy mieć tę małą czarną siostrzyczkę tutaj między nami. Prosimy też, aby dobrzy mali murzyni modlili się za nas, abyśmy mogły jaknajdłużej zachować w naszych sercach

ukochanego Pana Jezusa. Przesyłamy serdeczne pozdrowienia naszym drogim czarnym braciom i kreślimy się

Szczerze oddane

Czcigodnej Pani Hrabinie

szczęśliwe uczenice ze szkoły N. Maryi Panny, które przystąpiły do 1-szej Komunii św.

Odtrąceni.

Posłuchajcie, drogie dzieci, co opowiada pewien Misyonarz o nędzy, panującej w Afryce, a zarazem o ubóstwie, jakie cierpi jego misya: »Mam tu u siebie wielu nieszczęsnych, po większej części kalek, których wyrzekli się wszyscy. Sami ci biedacy zaklinają mnie, aby im było wolno pozostawać w misyi. Są między nimi upośledzeni na umyśle i kulawi, inni znów dotknięci trądem i okryci strasznemi, wstręt wzbudzającemi, ranami; liczba tych biedaków wzrasta z dnia na dzień. Ale niestety, nie posiadam nic, czembym mógł z nimi się podzielić, bo literalnie ani grosza nie mam.

Dziś wieczorem przyszło do mnie dwoje dzieci. Jedno z nich jest sierotą — tak przynajmniej opowiada o sobie. Z drugiej strony wiem, że litościwy człowiek, który je żywił dotąd, a był to protestant, właśnie teraz umarł. Uciekło się więc pod naszą opiekę, w nadziei, że zajmiemy się niem. Drugie zaś z tych dzieci jest małym nicponiem, złodziejem i kłamcą. Malec ten chory i prawdopodobnie nie ucieknie od nas, bowiem ciągle jest głodny. Jest on w stanie głaskać i pieścić psa, aby pokryjomu por-

wać nawet ten nędzny kęs strawy, który rzucamy naszemu stróżowi do jego brudnej miski!

Mamże wypędzić te dzieci? Jeśli to zrobię, to niezawodnie, albo przystaną do protestantów, albo nic dobrego z nich nie wyrośnie.

O drogie dzieci, które macie szczęście posiadać ognisko domowe, do Was się zwracam i pytam, czy nie ulitujecie się nad waszymi czarnymi braciszkami w Afryce?...

Z ŻYCIA CZARNYCH POGAŃSKICH DZIECI

przez W. O. Massmanna, byłego Misyonarza w Kongo Belgijskiem.

(Ciąg dalszy).

3. Adogwo (Dziewczynka).

»Franziska!« — »Nasikia, Baba yangu! Słucham mój Ojcze!« Opowiedz mi ty dzisiaj przygody, jakich zaznałaś, zanim znalazłaś się w mojej wiosce!« — Moje przygody są liczne, mój Ojcze; życie moje najpierw było pełne gorzkiego bólu, później nadziei, a dzisiaj słodkiej radości. Opowiem ci je tak, jak mi ono w pamięci zostało.

»Jestem dzieckiem ze szczepu Wabuddów. Urodziłam się między Bafwasomami. Wioska moja nazywa się Bakmamba i leży nad wodami Obe. Ojciec mój zwał się Képau, a moja matka Bokoa. Czy zobaczę jeszcze kiedy moją ojczyznę, ojca, matkę? Któż może to wiedzieć? W czasie, kiedy europejski wódz, nazwiskiem Grossbart, miał dowództwo nad twierdzą białych ludzi, Bafwakubi, przybył do naszego kraju pewien sługa wodza, »Pena-

Keka«, na czele żołnierzy ze szczepu Bakumu do kraju Bafwasoma, aby uprowadzić niewolników. Nie podejrzywając grożącego niebezpieczeństwa, spaliśmy wtedy spokojnie. Aż tu nagle, wczesnym rankiem, napadli oni na cichą naszą wioskę. Groźny huk karabinów wyrwał nas ze snu. Mężczyźni rzucili się ku obronie i wielu z nich poległo; inni ratowali się ucieczką. Kobiety i dzieci pozostały w chatach; wiedziały bowiem, że Wanguanowie nie będą ich zabijali, ale wezmą je do niewoli i uprowadzą. Rabusie ci przyszli zdaleka i my niewolnicy musieliśmy odbyć daleką, daleką drogę, zanim dostaliśmy się do miasta Wanguanów, nad wielką rzeką Ituri. Co się w tej drodze działo z niemowlętami? A co się działo z tymi, którzy nie byli już w stanie o własnych siłach iść przez te dzikie lasy? Wanguanowie chwytali płaczące dzieci za nóżki i w oczach, błagających zmiłowania matek, rozbijali im główki o kamienie, albo też wieszali je, lub kłóli dzidami, lub dotąd bili kolbami strzelb, póki dzieciątka nie zostały na ziemi bez głosu i drgnienia!

Kiedy owego ranka huk strzelb i wściekłe okrzyki Wanguanów zbudziły nas ze snu, mój ojciec wybiegł pierwszy z chaty i zasłonił wejście do niej. My zaś z wewnątrz zabarykadowałyśmy je silnie i, zbite w gromadkę, drżące z trwogi, oczekiwałyśmy, jak myszy w gnieździe, kiedy słyszą, jak drapieżny wróg zakradł się i podsuwa się coraz bliżej podziemnym korytarzem. Nie trwało to długo: naraz drzwi wywalono i do chaty zajrzała lufa karabinu! Objęłyśmy się silniej krzycząc głośno. Wtedy odezwał się zbój: »Jeśli nie powychodzicie dobrowolnie, wszystkich was zastrzelę!« Drżąc z trwogi wyszłyśmy z chaty. Pochwyciły nas na-

tychmiast silne dłonie rabusiów. Jeden ujął mnie, drugi moją matkę, niosącą na ręku mego braciszka, Idyo, trzeci zaś Adjangisanę, drugą żonę mego ojca, nie mającą jeszcze dzieci. Przyłączono nas do szeregu, wziętych w niewolę, kobiet. Mogłam już iść o własnych siłach, ale inne dzieci, szczególnie dziewczynki, musiano nieść na rękach. Zmuszono wszystkie kobiety, aby, oprócz naładowanej na barki, świeżo zrabowanej zdobyczy, niosły jeszcze na rękach po jednem dziecku. Adjangisana niosła tedy dziewczynkę, która sama nie mogła nadążyć karawanie, ani ujść tak dalekiej drogi. Ja musiałam biedz przed moją matką, gdyż dawała mi pożywienie. Niosła ona przed sobą mego braciszka, uczepionego w rzemieniu, a na plecach dźwigała ciężki dzban oleju palmowego*).

Szliśmy tak i szliśmy cały dzień przed siebie. Od czasu do czasu musieliśmy spoczywać, bo inaczej byłyby niektóre kobiety i dzieci ustały w drodze. Matka moja była bardzo wyczerpana. Naraz potknęła się na korzeniu sterczącym wśród nierównej drogi i, straciwszy równowagę na ślizkiej ścieżce, upadła. Nie mogłam przyjść jej z pomocą; dzban rozbił się i olej palmowy wypłynął. Jak duży żółty kołacz leżał pośrodku leśnej drożyny. Było to nieszczęsne miejsce na naszej drodze i nieszczęsny był to dzień w życiu mojej matki i w mojem! Matka patrzyła, nieruchomemi z przerażenia oczyma, na rozbity dzban i na olej, którego niepodobna było zebrać, a ja zaczęłam płakać, taka mnie trwoga zdjęła przed zbójami, którzy nas wiedli. Inne niewolnice, przechodząc koło nas, mówiły: »Biedna

---

*) Ciężar taki wisi na powróśle z kory drzewnej, które przechodzi przez wierzchołek głowy.

kobieto, lepiejby ci było, gdybyś nie zabierała dziecka z sobą!« Wtem nadbiegł »Penakanyama« (tak się nazywał ten, który nas wziął w niewolę), i wpadł w straszną wściekłość. Odepchnął kolbą moją matkę z taką siłą, że upadła z krzykiem na ziemię i poczęła go błagać, aby jej nie zabijał; obiecywała mu naprawić szkodę, którą wyrządziła; mówiąc to, przyciskała silnie do piersi małego braciszka. »Patrzysz tylko za swemi dziećmi, a na mój dzban to nie mogłaś uważać! Czekaj, zapłacisz ty mi za to!« Mówiąc to, wyrwał z objęć matki dzieciątko, mego braciszka, Idya, i, — Ojcze, ledwo mogę mówić, bo zdaje mi się, że widzę, jak wówczas, co się stało dalej — wyrwał go i roztrzaskał mu główkę na tym samym korzeniu, na którym matka potknęła się wpierw tak nieszczęśliwie i upadła. W miejscu tem droga nasza prowadziła ponad samą rzeką Nepocko i zbój, porwawszy skrwawione, martwe ciałko — cisnął je do wody. Nieszczęsna moja matka rzuciła się do rzeki, popłynęła za swem dzieciątkiem *), pochwyciła je i wyniósłszy z wody, dalej tuliła je w ramionach. Penakanyama wyrwał je powtórnie i znowu rzucił do wody, ale tym razem przytrzymał silnie biedną matkę — tak, że rzeka poniosła daleko mego braciszka. Uczepiłam się matki, ale oderwano mnie i kazano iść za karawaną; matkę zaś odpędzono precz. Chciała podążyć za nami, aby przynajmniej mnie nie utracić; wtedy wzięto ją na cel karabinu. Matka nie ruszyła się z miejsca, huknął strzał, ale kula przeleciała koło niej. I stała tak długo i patrzyła za mną, aż za lasem zniknęłam jej z oczu. (C. d. n.)

---

*) Wszyscy mieszkańcy brzegów większych rzek, tak mężczyźni, jak i kobiety, umieją pływać.

Testament małej przyjaciółki misyi.

W sierpniu roku 1913, do zakładu misyjnego w H., nadeszło pismo następującej treści: »Wielebny Ojcze! W załączeniu posyłamy sukienki naszej ukochanej córeczki, Agnieszki, którą powołał Bóg do niebieskiej Ojczyzny 13 lipca bieżącego roku. Liczyła ona sześć i pół lat i sama postanowiła przed śmiercią, że wszystkie jej rzeczy, z wyjątkiem jednej sukienki, którą przeznaczyła towarzyszce swych zabaw, mają być wysłane i użyte dla małych dzieci pogańskich. To samo poleciła nam uczynić ze swemi oszczędnościami.

Wraz z pakunkiem, zawierającym w dobrym stanie odzież, nadeszły też oszczędności maleńkiej zmarłej, wynoszące ogółem 10 marek. Rodzice jej dodali do tej sumy jeszcze 140 marek, stanowiących wysokość kwoty, wypłaconej przez Towarzystwo ubezpieczeń na życie, po śmierci dziecka, mówiąc, że maleńka przyjaciółka misyi byłaby nią rozporządziła w ten sposób, gdyby była o niej wiedziała; chcąc więc pójść w zupełności za ostatnią wolą zmarłej córeczki, proszą, aby tę sumę obrócić na zaspokojenie potrzeb biednych, pogańskich dzieci.

Wielebny Ks. Proboszcz miejscowości, z której pochodziła Agnieszka, poświadczył, że było to dziecko niezwykle rozbudzone i że miało uderzająco jasne rozeznanie w rzeczach, odnoszących się do religii, szczególnie, kiedy się brało pod uwagę wiek tak młodociany. Licząc się właśnie z przedwczesnym rozwojem dziewczynki, udzielono jej, po należytem przygotowaniu, kilkakrotnie Komunii św., w czasie

długiej i uciążliwej choroby, którą była złożona; zwłaszcza, że okazywała gorące pragnienie przystąpienie de Stołu Pańskiego. Pod koniec myśli małej Agnieszki skierowane były wyłącznie ku Boskiemu Dzieciątku, którego wizerunki ustawicznie podziwiała z dziecięcą radością, błagając je z głębi swego pobożnego serduszka o ratunek dla biednych pogańskich dzieci.

„CHCIAŁABYM UŚWIĘCIĆ MOJĄ DUSZĘ!..."

Selina, dwunastoletnia dziewczynka, przed trzema laty przyjęła Chrzest św. i Sakrament ten łaską swą przedziwnej zmiany dokonał w jej duszyczce. Dawniej była to mała istotka dzika, szorstka, samowolna i starająca się wszędzie przeprowadzić swą własną wolę; teraz zaś stała się łagodną, miłą, posłuszną tak, iż jest wzorem dla swego otoczenia.

Wielka była jej radość, kiedy dozwolono jej po raz pierwszy przystąpić do świętego Sakramentu Pokuty. I jeśli kiedykolwiek później zdarzyło się jej zbłądzić w jakiś sposób, natychmiast prosiła Misyonarza o pozwolenie wyspowiadania się.

Pewnego dnia Ksiądz zapytał ją: »Selino, powiedz mi, dlaczego chcesz znowu się spowiadać?« Dziecko zaś dało mu tę piękną odpowiedź: »Ojcze, *chciałabym uświęcić moją duszę!*« Ledwo że mogła doczekać się dnia swej Pierwszej Komunii św. Z jakiemż nabożeństwem, z jakiem skupieniem szła ona do Ołtarza Pańskiego! A po przyjęciu Ciała Chrystusowego klęczała długą chwilę, bez ruchu, z zamkniętemi oczyma i z rękami złożonemi na piersiach. Widocznem było, że zatopiona jest w rozmowie ze Zbawicielem, którego do serca swego

przyjęła. Od tego czasu, kościół stał się dla Seliny najmilszem miejscem. Jak tylko może znaleźć chwilę wolnego czasu, natychmiast kieruje swe kroki do przybytku Bożego.

Niedawno zgłosiło się do nas tak wiele dzieci na naukę, że nasza sala szkolna nie mogła wszystkich pomieścić i musieliśmy z liczną gromadką schronić się do kościółka. Tam więc, w obecności Pana Jezusa, udzielamy tymczasowo, zanim nowy kościółek zostanie ukończony, nauki murzyńskim dzieciom. Ale wskutek tego trzeba było zamknąć na czas rekreacyi stary kościołek i Selina nie mogła, jak to było jej zwyczajem dotąd, odwiedzać swego Boskiego Zbawiciela. Miłość przemyślna jest, jak powiada przysłowie; Selina pobiegła do Księdza Misyonarza i dostała klucz od zewnętrznych drzwi zakrystyi. W ten więc sposób może teraz to dobre dziecko jeszcze w większej cichości i ukryciu niż dawniej rozmawiać ze swym Panem i Zbawicielem. W domu Selina jest radością i podporą swych rodziców. Niedawno mówiła mi jej matka: »*Oho, Selina, ngoan'a ka o na le pelo e utle, e tsoeu*«, co znaczy: »O Selina, moja córka, ma dobre niewinne serduszko, kochające Boga i ludzi«.

Nieprawdaż, moje drogie dzieci, że to dzielna czarna dzieweczka! Oby wasi drodzy Rodzice mogli wydać o was równie pochlebne świadectwo!

Redaktor odpowiedzialny: *W. Gędłek.*

W Krakowie. — Czcionkami drukarni »Czasu«.
Nakładem Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Datki nadesłane od 1 do 30 czerwca.

Liga dzieci dla Afryki: p. Z. Zawadzianka 40 h.; Ochronka z R. 1 rb. 84 kop.; dzieci pp. Otto 2 mk.; przez p. Z. Sławińską, dzieci z ul. Tarczyńskiej 1 rb.

Ogólna suma: **K. —'40, rb. 2'84, mk. 2'—**

ZWIĄZEK MSZALNY

na rzecz misyj afrykańskich, założony przez Sodalicyę św. Piotra Klawera, a zaprowadzony kanonicznie przez J. Em. Kard. Respighi, Wik. gen. J. Świątobliwości.

1) Związek mszalny na rzecz misyi afrykańskich stanowi **300 Mszy św. co roku** odprawianych w kaplicy św. Piotra Klawera w Domu centralnym Sodalicyi św. Piotra Klawera obecnie w Rzymie (via dell' Olmata 16).

2) Uczestnik Związku mszalnego składa **raz na zawsze** jałmużnę w kwocie **1 korony (1 mk., 50 kop., 25 cent. am.** itd.)

3) Trzysta Mszy św. odprawia się na intencyę uczestników: tak żyjących jak zmarłych.

4) Do Związku mszalnego wpisywać można też dzieci i zmarłych.

5) Udziału w korzyściach duchownych dostępuje się z chwilą złożenia wyżej wymienionej jałmużny.

6) Każdy uczestnik otrzymuje, jako dowód przyjęcia, obrazek wpisowy ze stemplem i podpisem gen. Kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Wpisy i ofiary dla Związku mszalnego adresować należy:
Sodalicya św. Piotra Klawera, Kraków, ul. św. Marka 25.
" " " " **Wrocław,** Hirschstr. 33.
" " " " **Salzburg,** Dreifaltigkeitsg. 12.